Nr. 9. We Lwowie Poniedziałek dnia 3. marca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z Berlina.

w marcu 1890 r.

(Żałoba po cesarzowej Auguście. — Bankructwa teatrów — Nowości sceniczne. — „Honor" Sudermanna. — Militaryzm na scenie).

Śmierć cesarzowej Augusty, która mimo swej pobożności i ścisłego przestrzegania obowiązków miłosierdzia, nie cieszyła się nigdy wśród tutejszej ludności wielką popularnością, spowodowała zarządzenie ścisłej żałoby. Zarządzenie tego rodzaju zastosowane tylko do sfer dworskich jużby musiało wywołać pewną stagnację w świecie kupieckim, zwłaszcza wobec pory karnawałowej. Cóż dopiero gdy nakazano żałobę ogólnokrajową.

Najboleśniej odczuły to rozporządzenie teatra, których Berlin liczy obecnie piętnaście, zakłady koncertowe, cyrki i t. d. Z wyjątkiem dwóch teatrów królewskich wszystkie inne instytuty tego rodzaju są skazane na opędzanie swych wydatków z dochodu codziennego. Dla tego też zamknięcie wszystkich tych zakładów na przeciąg dni pięciu było klęską dla ich przedsiębiorców. Wprawdzie dyrektorowie teatrów zastrzegają sobie zazwyczaj rozwiązanie kontraktu na wypadek wojny lub żałoby krajowej, jednakowcż w własnym, dobrze zrozumianym interesie niechętnie korzystają z tego prawa.

Z ostatniej żałoby korzystali dwaj tylko przedsiębiorcy, wypowiadając kontrakty angażowanym przez siebie artystom. I tak w teatrze *Belle Alliance* gościła właśnie trupa monachijska, skutkiem czego stały personal teatralny był bezczynny, korzystając z żałoby dyrekcja wypowiedziała mu kontrakt. Gorzej jeszcze postąpił sobie właściciel pewnego zakładu koncertowego, który wyrzucił w tym czasie cały swój personal na bruk, by po upływie terminu żałoby zaofiarować biedakom nowy kontrakt z połową gaży.

Nakaz żałoby był tak ściśle przestrzegany, że zabroniono nawet produkcji muzykalnej, która miała się odbyć w jednym z kościołów na cel dobroczynny. Oprócz artystów, którzy z trudnością żyją z dnia na dzień i nie mogą przygotować się na niespodziany ubytek w swych dochodach, uwzględnić jeszcze trzeba cały personal pomocniczy, który dzienną pobiera płacę, a którego przymusowa bezczynnność przyprawia go o nędzę. Już po zdjęciu żałoby nastąpiło bankructwo obecnej dyrekcji w teatrze Krolla, gdzie przedstawiano nową operetkę Sullivana p. t. *Gwardzista królewski*. Mimo wszelkich zalet, jakiemi się ta kompozycja może poszczycić, położenie teatru Krolla chętnie odwidzanego w sezonie letnim, jest tego rodzaju, że w zimie publiczność od niego stroni. Opuszczona przez dyrektora trupa, próbowała szczęścia na własny rachunek, lecz nie zdołała się dłużej utrzymać nad dziesięć dni.

Opera królewska wznowiła *Hugenotów*, zaś teatr nadworny po długiej przerwie zdecydował się w końcu na nowość. Jest nią tragedja *Eryk Brahe* Ottona Girndta. Robota sztuki bardzo porządna, dużo w niej znajomości sceny i pisarskiej rutyny. Natomiast sam temat tragedji nie grzeszy pomysłowością. Walka między tyranią parlamentu a słabym monarchą nadaje się raczej jako przedmiot do dziejowych badań niż do przedstawienia na scenie.

Teatr niemiecki był szczęśliwym, wystawiając *Świętoszka* w nowem opracowaniu Fuldy. Molierowskie arcydzieło podobało się nadspodziewanie tutejszej publiczności, w czem tkwi część zasługi artystów biorących udział w rzeczonem przedstawieniu.

W teatrze Lessynga potężne wrażenie wywołał czteroaktowy dramat Hermana Sudermanna p. t. *Honor*. Sudermann jest nowelistą średniej miary i na deskach teatralnych dotychczas nie dał się poznać. Pierwszy ten jednak utwor sceniczny nieznanego w szerszych kołach pisarza zdradza niepospolite zdolności. *Honor* jest sztuką ludową w całem tego słowa znaczeniu, o wielkiej doniosłości socjalno-etycznej, o wybitniejszym piętnie realistycznem. Jako temat dramatu obrał sobie autor pojęcie honoru a raczej tegoż pozoru. Akcja dramatu rozgrywa się w Berlinie, w zakładzie fabrycznym radcy handlowego Mühlingka. Pan radca wraz z rodziną zamieszkuje pałac od frontu, w oficynie mieści się biedaczysko Heinecke, kuternoga, którego przed laty przejechał powóz Mühlingka. Kalece dano z litości przytułek w oficynie pałacowej i radca zajął się jego rodziną. Syna jego wykształcił na kupca i wysłał go do swych posiadłości w Indjach. Robert — tak zwie się młody człowiek — powraca ztamtąd po upływie kilku lat i co rychlej spieszy powitać swą rodzinę, dla której zamierza całą swą pracę poświęcić. Niestety czeka biedaka przykre rozczarowanie. Widzi rodziców przyjmujących bez żadnego skrupułu upominki od służby pałacowej, ogląda też po długich latach rozstania obie siostry. Starsza wyszła za mąż za stolarza, młodsza Alma, na wpół dziecko jeszcze, jest ulubienicą Roberta. Z boleścią słyszy więc brat, że Alma zamierza się poświęcić karjerze teatralnej jako śpiewaczka; zdumiony patrzy na jej wolne maniery, mimo dziecinnej naiwności, którą zachowała. Cóż dopiero ma czynić, gdy się dowiaduje, że Alma z synem pana radcy odbywa powozem przejażdżki po mieście.. Oburzony Robert czyni rodzicom ostre wyrzuty, których oni nie chcą zrozu-

mieć. Na szczęście jednak z Robertem przybywa z Indji przyjaciel jego i protektor, hrabia Trast-Sarberg. Hrabia przebył burzliwą młodość. Jako oficer musiał kwitować z powodu długów, nie skończył iednak samobójstwem, lecz udał się do Indji i tu rzetelną pracą dorobił się milionowej fortuny. Doświadczony bywalec przejrzał od razu jasno całą sytuacją i dla tego gorąco namawia Roberta do powrotu. Młodzieniec chce jednak koniecznie ratować zaślepionych, choć Bogiem a prawdą nie ma już co ratować... Alma ukochana jego siostrzyczka, jest istotą upadłą i nie czuje wcale swej hańby, zaś rodzice godzą się zupełnie z losem otrzymawszy od radcy 40.000 marek tytułem odszkodowania. Robert otrzymuje od swego pryncypała dymisję — chcąc się widocznie pozbyć całej rodziny. Z rewolwerem w zanadrzu przestępuje po raz ostatni progi pałacu celem zdania rachunków radcy i jego synowi. Rzuca też w twarz uwodzicielowi swej siostry całą sumę odczepnego. którą go wspomógł jego przyjaciel, hrabia. W zamian młody rozpustnik zwie go złodziejem! Robert chwyta za broń, by uśmierzyć nędznika na miejscu, gdy między obu młodych ludzi wpada radca wraz z córką swą Leonorą, przyjaciółką lat dziecinnych Roberta. Z ust jego padają słowa świętego oburzenia na rabusiów czci jego rodziny — poczem chce się oddalić na zawsze. Leonora rzuca mu się na szyję oświadczając, że pójdzie za nim. Stary kupiec chce ją przekląć... W tem jako *deus ex machina* zjawia się hrabia Trast-Sarberg, który mianuje Roberta swym wspólnikiem i spadkobiercą. Honor mieszkańców pałacu uratowany — rodzina Heineckòw nigdy nie czuła się pokrzywdzoną na honorze, gdzież zatem ten honor?

Podczas gdy Sudermann tak gorżką satyrą policzkuje swe społeczeństwo, inni autorowie dramatyczni wolą hołdować modnemu prądowi, który obecnie ogarnął całą generację Niemiec. Mówimy o militaryzmie. Militaryzm odgrywa obecnie w powieści i na scenie tę samą rolę, co ongi kolejno werteryzm, bohaterowie wolności rewolucji i spisków. Nie ma tygodnia, by nie pojawił się nowy romans, powieść, komedja lub dramat, w którym główną rolę odgrywa — oficer...

Widzimy go i w najświeższych nowościach teatralnych, jako to w dramacie Prachsa (adwokata, dra Jaffe). p. t. *Obraz Signorellego* przedstawionym na scenie teatru Lessynga i w dramaciku jednoaktowym Heysego (*Dług honorowy*) który ujrzał światło kinkietów na scenie teatru niemieckiego. Mania militarna na scenie niemieckiej stanowi ciekawą charakterystykę obecnej epoki.

Czy pamiętasz?

(OBRAZEK)

(Dokończenie).

A rodzice nasi, zamiast gniewać się, żeśmy im taki niepokój sprawili, z wielkiej radości, że zguba się znalazła, całowali nas i ściskali długo; że zaś ta podróż po paprociowej gęstwinie nas zmęczyła, tatko ciebie, a mama mnie, na rękach do leśniczówki zanieśli. Czy pamiętasz ty to Władysiu? A szum puszczy pamiętasz. w który nieraz na samotnych przechadzkach wsłuchiwaliśmy się godzinami, gdy byliśmy już: ty dorastającym chłopcem, a ja dużo podrosłą dziewczynką? A ponieważ już mówię o drzewach, czy pamiętasz te trzy stare, rozłożyste klony, pod któremi w lecie jadaliśmy zazwyczaj śniadanie i podwieczorki, dawano nam chleb z miodem i jak ty ten przysmak lubiłeś? Tak dalece go lubiłeś, że ja, choć łakoma, oddawałam ci często połowę swojej porcji, a tyś za to biegał do leszczynowego lasu po orzechy, które były znowu namiętnością moją? Pamiętasz? Klomby te coraz starsze, rozłożyste, stoją i teraz tam, gdzie stały, miód jak i dawniej jest w pasiece i są orzechy w leszczynowym lasku, tylko ciebie Władysiu nie ma tu już nigdy, nigdy“...

Do tego miejsca doczytawszy, wzrok przeniósł ku górze kartki i ze szczególnemi uśmiechami, które mu to błyskały, to gasły na ustach i w oczach, po raz drugi to samo przeczytał. Potem, odwrócił kartkę, na której miękka dusza kobieca, w jakiś cichy wieczór zimowy wspomnieniami poranku życia rozrzewniona, pisała dalej:

— Czy pamiętasz nasz pokój dziecinny, nieduży z bielonemi ścianami i oknem wychodzącem na ogródek, w którym mama siała różne lecznicze zioła, także pachnące? bo nasza mama była lekarką całej biednej okolicznej ludności i z kilku wsi dokoła ludzie schodzili się do niej po ratunek dla swoich cierpień, często nieważnych, ale dokuczliwych i którym ona zaradzić umiała. Pamiętasz mamę, cierpliwie i długo rozmawiającą z babami wiejskiemi o ich dolegliwościach i biedach, albo pojącą ziołami biedne blade dzieci? W naszym zaś dziecięcym pokoju wychodowały się i wyrosły z kolei moje dzieci: Staś i Julcia, a teraz jest on moją i Julci sypialnią. Ściany w nim tak jak dawniej białe i okno wychodzi na ogródek, w którym ja z kolei siejęczomber, ślaz i melissę; niedawno nawet znalazłam gdzieś na strychu twojego niegdyś drewnianego konia i oczyściwszy go starannie, w kącie pokoju postawiłam. Pamiątka po tobie... bo choć wprawdzie żyjesz, ale nie dla nas, nie dla nas“...

Tu czytający, ręce z listem opuścił na kolana i w przestrzeń wpatrzony, głową wstrząsał. Do pokoju wszedł majestatyczny automat i cicho po puszystym kobiercu stąpając, wniósł na srebrzonej ciężkiej tacy herbatę z mnóstwem przyborów i dodatków, a postawiwszy ją na stole o przyniesieniu jej, zniżonym głosem panu swojemu oznajmił. Ale pan, ani go nie widział, ani słyszał, czytał dalej.

— A starą nianię naszą, Kasię Hołubowę, czy pamiętasz? Jakie ona miała różne zabawne, a jak tatko utrzymywał, mądre przypowiastki i przysłowia, a ręce takie ciemne, grube, z węzłowatemi palcami, któremi przecież tak starannie i delikatnie ubierała nas, czesała, głaskała gdy cokolwiek nam dolegało, do ust przykładała przysmaczki, kiedyśmy się rozkaprysili i samem głaskaniem pocieszyć się nie dawali. Złote miała serce i bardzo nas kochała ta prosta chłopka. Wypiastowała potem Stasia i Julcię i do końca życia przebywała u nas, w tym pokoiku, w któ-

rym to, pamiętasz, dawniej jabłka na zimę chowano i którego okno na gaik brzozowy wychodzi. Ale ty, naturalnie, nie wiesz o tem, że Hołubowa już nie żyje. Przed rokiem zmarła, a w chorobie ciągle ciebie wspominała. Na kilka minut przed śmiercią mówiła jeszcze: „Czy Władyś nie pisał? pojechał on od nas, niech nim Najświętsza Panna opiekuje się i niech jego Pan Bóg błogosławi". Wiem, mój Władysiu, że to błogosławieństwo naszej starej niani nie obchodzi cię wcale, jednak posyłam ci je i niech będzie ono z tobą i nad tobą. Pochowaliśmy ją na tym cmentarzu, co to, pamiętasz? pod sosnowym bokiem, nad mokrą łąką, krzyżykami sterczy i na którym też rodzice nasi są pochowani. Ale ty, na tej mogiłce, pod którą Hołubowa nasza po trudach poniesionych około nas i dla nas spoczywa, zapewne nie będziesz nigdy"...

Znowu puścił list na kolana, zamyślił się, a każdy z tych, którzy go widywali w biurze, w klubie, w teatrze i u cyganek, ujrzawszy go teraz, byłby zdziwiony niezmiernie. Plecy miał przygarbione, głowę naprzód podaną, oczy przygasłe i nieruchome, na czole mnóstwo zmarszczek wyglądał staro, staro... Po kilku minutach list nieodczytany na skraju biórka leżał, on zaś sam pisał.

— „O wszystkiem ja zapomniał, moja Anulko a jednakowoż wszystko pamiętam i trzymałbym pari, że nikt nie zrozumie, jakim sposobem tak być może. Ale człowiek, choć z tęgą głową, to takie stworzenie, któremu nietylko wszystko, ale nawet samego się zrozumieć trudno. Teraz zdaje mi się, żem już siebie zrozumiał. Ktościś wcale nie głupi wymyślił wyraz: swoje. Dopóki ja ciągle naprzód szedł i myślał: jeszcze tam zajdę, jeszcze tam, jeszcze to zdobędę, jeszcze tamto, dopóty była walka i wielka ochota do walki i życia. A kiedy już wszystkiego dokazałem.. Ej, srogiż to żart jakiś, to nasze życie ludzkie! Pracujesz, męczysz się, znosisz nieprzyjemności różne, pędzisz jak szaleniec przez góry, które kruszysz, przez morza, które przepływasz, a gdy już pochwycisz to, czego tak pożądałeś, widzisz, że w ręku trzymasz — marę. Żebym ja przy sobie miał kogoś swego, możeby mnie i mara dłużej cieszyła, a tak fiuuu! zniknęło wszystko została się pustynia. Jak to dobrze, że napisałaś do mnie i że nazywasz mnie tak, jak dawniej Władysiem. Piękny Władyś, gruby jak beczka i stary, stary już!... jednakże to prawda Władyś! A imion tatki i mamy nie wymówiłem już ja lat ze dwadzieścia... pierwszy raz dziś... Ot, dziwna rzecz! dopóki byłem młody, wszystko mi jedno było i wszystko mnie cieszyło; a teraz, kiedy w żyłach krew trochę ostygła, a w ręku okazała się mara, zachciało się gwałtem czegoś innego, innego! Wiesz co? ty odemnie szczęśliwsza, Anulko! Ciebie obchodzi wiele rzeczy: Staś, Julcia, majątek, różne tam i nie twoje własne nawet sprawy i historje; ty lubisz swoje białe ściany, swoje klony, czombry, orzechy puszczę... Prawda, że ta puszcza ślicznie szumiała, a zapach maminego czombru tak mi się dobrze przypominał, że aż w nosie zaświdrował. No, powiedz, a orzechów możesz ty jeszcze tak wiele zjadać, jak dawniej? A leszczynowy barazo jeszcze nie wycięty? A co się stało z naszym psem Burkiem? czy dawno on zdechł? Ej, kłaniaj się ty odemnie puszczy, klonom, drewnianemu konikowi memu i mogiłce starej niani Hołubowej! Albo wiesz co? przyjadę ja kiedy do was! Teraz nie mogę: służba, interesy nie puszczają, ale jak tylko lata doczekam, wezmę urlop i przyjadę. Ej, niech czart weźmie, może ja i inaczej.., no, jeszcze rok, dwa lata, a pokłonię się pięknie wszystkim tu i wszystkiemu i zupełnie powrócę do ciebie i do...

Na wyraz następny spadła gruba łza, rozpłynęła się po nim i uczyniła go nieczytelnym.

El. Orzeszkowa.

„La bête humaine".

przez Emila Zolę.

Genialny twórca naturalistycznej szkoły w powieściopisarstwie, E. Zola, kocha się w ostateczuościach. Dowody tego składa ustawicznie, zarówno w kolorycie, którym konsekwentnie zabarwia utwory swoje, jak w wyborze tematów, opracowanych przecież następnie ze sumiennością i ścisłością niesłychanie rzadką u prawowitych dzieci Appolina.

Przykładem klasycznym takiego kontrastu w tematach *Zoli* i sposobie przeprowadzenia tychże, są dwie najnowsze jego powieści. Po *Le rêve* napisał *La bête humaine.* Zdaje się na pozór że z czytelnikami i wielbicielami swoimi, postępuje on analogicznie, jak hydropata z profesji z pacjentami. Z pod gorącego tuszu, szle ich bez chwili wypoczynku pod zimny, lodowaty. *Le rêve*, — to Zolowskie „marzenie", — stworzyło w krótkim czasie bogatą literaturę feljetonową, oprócz tego zostało przełożone na wszystkie europejskie języki,*) co zupełnie uwalnia nas w tej chwili od powtarzania rzeczy, po stokroć już wypowiedzianych i od przypuszczania treści i w ogóle charakterystyki tego dzieła. *La bête humaine* nawet nie ukazała się jeszcze w zbroszurowanym tomie. Drukuje ją dopiero tygodnik paryski *La vie populaire* — a choć i my, wiedzeni gorączkowym pospiechem współczesnej publicystyki — podaliśmy już niedawno temu myśl przewodnią tego ostatniego utworu romansopisarza, to jednak sądzimy, że zrobimy przysługę czytelnikom, podając dziś obok treści także najbardziej esencjonalne jej ustępy.

Otóż zgodnem sądem wszystkich krytyków literatury, punkt kuluminacyjny w tej powieści osiągnął Zola opisem katastrofy kolejowej. Dodawać zbyteczne, że zanim zdobył się na takie *chef d' oeuvre* reporterskiej sztuki, z pedanterją filistra studjował wszystkie szczegóły kolejnictwa, okiem wytrawnego spostrzegacza podchwytywał nastraszniejsze nawyczki i właściwości z życia kolejowców, badał stosunki u ich źródła, słowem — zwyczajem swoim kopiował z natury to życie kolejowe we wszystkich tych formach i odmianach.

Posłuchajmy teraz opowiadania katastrofy, którą z wymysłu spowodowała, córka dozorcy toru, *Flora*, popchnięta do strasznej zbrodni

*) Rok temu podaliśmy tłumaczenie tej powieści w naszym odcinku (Przyp. Red).

zazdrością. Nieszczęsna kochała się namiętnie, szalenie, w maszyniście *Jacquie*, który atoli wzgardził jej uczuciami, oddając się cały pani *Severine*, żonie drugiego naczelnika stacji w Havre. Otóż rozszalała tym zawodem dziewczyna, obmyśliła piekielny plan zemsty, aby w jednej chwili zgładzić niegodziwego Jacqua i jego kochankę...

Mianowicie gdy dowiedziała się, że pani Severine jedzie w pociągu kurjerskim, idącym do Havru a prowadzonym przez Jacqua, postarała się o wóz ciężarowy z dwoma olbrzymiemi głazami ustawiła go u wyjścia z pobliskiego tunelu na poprzek toru i oczekiwała na... katastrofę. Tę opisuje Zola w następujący sposób: „. . . . Konduktor prowadzący pociąg pierwszy ujrzał z wysokiej swojej budki obserwacyjnej, gdy wydostali się już z korytarza tunelowego, wóz ciężarowy ustawiony w poprzek toru. Stał właśnie przed stolikiem, celem uporządkowania list pocztowych, podczas gdy flaszeczka z atramentem zawieszona na gwoździu, bezustannie wykonywała ruchy wahadłowe. Na ostatniej stacji przed tunelem wysiedli byli dwaj podróżni; uwiadomił przeto w protokole jazdy, co należało, poczem udał się na sterczące nad wagonem podwyższenie swoje, aby stosownie do zwyczaju raz jeszcze rzucić okiem badawczym naprzód i w tył linji. Poza temi oknami budki strażniczej — bywało przepędzał wszystkie wolne chwile w czasie jazdy dla nadzoru. Tender zakrywał mu maszynistę, dzięki jednak podwyższeniu spostrzegał szybciej i widywał nieraz dalej, niżeli tę ostatnię. To też pociąg był jeszcze na skręcie przekopu tunelowego, gdy ujrzał przeszkodę wspomianą. I opanowało go w okamgnieniu tak kolosalne przerażenie, że ubezwładniony tem, przez chwilę nie wierzył oczom swoim. W ten sposób poszło w niwec kilka sekund, pociąg gonił już po za przekopem i donośny gwizd urywał się z wnętrza maszyny, gdy konduktor zdecydował się wreszcie szarpnąć wiszący przed nim koniec sznurka dzwonka alarmowego.

W tej ostatniej już chwili Jacques, z ręką opartą na dźwigni, nie widząc niczego przed sobą w formalnej nieprzytomności, patrzył wytreszczenymi oczyma w przestrzeń. Myśląc o rzeczach zamierzchłych i dalekich wśród których nie było nawet wizerunku pani Severine... Zbudził go z tego snu dopiero rozszalały dźwięk dzwonka alarmowego, istny ryk stojącego po za nim palacza.

Ten niezadowolony z przewiewu w parowym kotle, podwiódł był przed chwilą popielnik do góry, a celem upewnienia się co do chyżości jazdy, wychylił się po za maszynę i wówczas to ujrzał... zgubę przed tunelem. I Jacques, trupio blady już w jednej chwili spostrzegł i zrazu miał wszystko — stojący w poprzek toru wóz ciężarowy, szalony pęd maszyny straszne zderzenie się, wszystko to widział i czuł z taką wydoskonaloną substelnością, że nawet rozróżniał ziarnistą powierzchnię głazów ciosowych, równocześnie odczuwając już w całym organizmie swoim zabójcze wstrząśnienie skutkiem zetknięcia się maszyny z ustawioną tam przeszkodą... Gwałtownym ruchem zakręcił dźwignię, zamknął regulatora, zaciągnął hamulce. Kazał maszyniście w stecz się cofnąć i mechanicznie pocisnął guzik parowej gwizdawki powodowany widocznie jakąś wściekłością bezwładną aby zawiadomić budnika o grożącem pociągowi niebezpieczeństwie i usunąć z drogi barykadę olbrzymią.

Lecz wśród przeraźliwego gwizdu, które powietrze rozdzierało daleko w około, jego lokomotywa, *Lison*, nie usłuchała i z nie zmniejszoną chyżością pędziła naprzód. Utraciwszy w czasie zawiei śnieżnych ostatniej zimy swoją lekkość i zgrabność, *Lison* nie była powolnem narzędziem w rękach maszynisty, ale kaprysiła ustawicznie i zdradzała opór, na podobieństwo zestarzałej kobiety, która skutkiem przeziębienia zaniemogła na piersi. Stękała i parskała pod naciskiem hamulca, parła się jednak naprzód potężną siłą swego ciężaru. Palacz, oszalały przerażeniem i trwogą zeskoczył ze swego posterunku Jacques, bezwładny i zesztywniały, z prawą ręką ściskającą kurczowo dźwignię zwrotnicy, z drugą na guziku gwizdawki, czekał, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni... A *Lison* dymiąca i parskająca, z rykiem nieustannym i przeraźliwem pędziła na oślep ku głazom na wozie.

Wreszcie wpadła na nie olbrzymiem słusznym ciężarem i trzynastu ciągnionych przez nią wagonów...

W oddaleniu dwudziestu metrów, na skraju toru, na którym rozgrywała się katastrofa, stał budnik, ojczym Flory i woźnica, obaj z rękami wplecionemi nad głową, dalej Flora z rozwartemi szeroko oczyma. Ludzie ci widzieli dobrze grozę położenia: jak cały pociąg wspiął się do góry, siedm wagonów spietrzyło się na sobie a potem z okropnym hukiem i trzaskiem opadło w dół w bezkształtnym chaosie ruiny kompletnej, Trzy pierwsze rozbiły się na drzazgi, cztery dalsze utworzyły górę splecionych ze sobą bezładnie szczątek wozowych, jak daszki, koła drzwi, łańcuchy, pufry, — wszystko to obsypane prochem szkła na miazgę potłuczonego... Przedewszystkiem zaś słyszano gruchocące uderzenie o głazy na wozie, głuchy huk i stuk, zakończony okrzykiem śmiertelnym. *Lison* z rozprutem szeroko cielskiem formalnie przeskoczyła na drugą stronę woza ciężarowego, a ustawione na nim głazy rozpadły się na tysiące drobnych ułamków, jakby eksplodowała podłożona pod niemi bomba dynamitowa. Z pięciu koni, zaprzężonych do wagonu, cztery zginęły na miejscu — ku końcowi jednak pociągu sześć wagonów pozostało nienaruszonych, nawet z szyn nie wyskoczyły.

Wnet podniosły się w górę okrzyki, złożone z dźwięków nieartykułowanych, jakby ryk wierzący: „Na pomoc!... ratujcie!... o mój Boże!... umieram!“ Nie słyszano nic nie widziano niczego! *Lison* leżała powaloną, z wnętrzem rozprutem.

Ciąg dalszy nastąpi.